
LAURA BELLINI
Dotyk, który pamiętam
Nie wrócą do przeszłości.
Mogą wybrać siebie od nowa.

Dotyk, który pamiętam

Nie wrócą do przeszłości. Mogą wybrać siebie od nowa

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384900017

ALL-IN Rafał Płonkowski

SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Granice papieru 11
Rozdział 2 - Umowa o milczeniu 22
Rozdział 3 - To, czego nie widać 36
Rozdział 4 - Miejsca między słowami 45
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 57
Rozdział 6 - Odległość jednego oddechu 67
Rozdział 7 - Po drugiej stronie ciszy 80
Rozdział 8 - Świat, którego nie znałam 91
Rozdział 9 - Cena jednego ryzyka 103
Rozdział 10 - To, co wybieramy 116
Rozdział 11 - Miejsce dla dwojga 129
Rozdział 12 - List bez adresata 141
Rozdział 13 - Cena wspólnego sukcesu 152
Rozdział 14 - Prawda, której jeszcze nie znamy 164
Rozdział 15 - Słowa, które nie dotarły 177
Rozdział 16 - Cisza z wyboru 190
Rozdział 17 - To, co należy do mnie 201
Rozdział 18 - Początek naprawy 213
Rozdział 19 - To, co zostaje między stronami 225
Rozdział 20 - Dotyk, który wybieram 236

INTRO

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam tamtego poranka, była rysa na zielonym płótnie. Miała niespełna centymetr, biegła ukośnie przy dolnej krawędzi okładki i dla kogoś niewtajemniczonego byłaby zupełnie niewidoczna. Dla mnie oznaczała cztery godziny dodatkowej pracy albo konieczność rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

Przesunęłam opuszką palca po nierówności. Płótno było chłodne, lekko szorstkie, pachniało klejem i świeżo prasowanym papierem. Lubiłam ten moment, kiedy materiał przestawał być zbiorem osobnych elementów, a zaczynał przypominać książkę. W moim warsztacie nic nie działo się przypadkiem. Nawet niedoskonałości miały swoje przyczyny, które można było znaleźć, zrozumieć i usunąć.

Z ludźmi nigdy nie szło mi równie dobrze.

- Nie patrz tak na nią, bo zaraz sama się rozpadnie - powiedziała Marta, stawiając na stole dwa kubki kawy.

Moja przyjaciółka prowadziła niewielką pracownię graficzną piętro wyżej i traktowała mój warsztat jak przedłużenie własnej kuchni. Miała trzydzieści dziewięć lat, nieuleczalną skłonność do spóźniania się oraz przekonanie, że wszystkie życiowe katastrofy można przetrwać przy odpowiednio mocnym espresso.

- Okładka jest źle naciągnięta - odpowiedziałam.

- A ja mam źle ułożone życie, ale jakoś nie zaczynam go codziennie od nowa.

Uśmiechnęłam się mimo woli.

Za oknem listopadowy Toruń tonął w wilgotnej szarości. Kamienice po przeciwnej stronie ulicy wyglądały, jakby ktoś

starł z nich kolory gumką. Z pobliskiej piekarni dochodził zapach ciepłego chleba, a na chodniku starszy mężczyzna usiłował przekonać jamnika, że spacer powinien odbywać się również podczas deszczu.

Miałam trzydzieści osiem lat, własny warsztat introligatorski i plan, który przez ostatnie osiem miesięcy układałam z niemal bolesną starannością. Chciałam przygotować autorską serię ręcznie oprawianych książek artystycznych, zaprezentować ją na wiosennych targach w Warszawie i wreszcie przestać przyjmować każde zlecenie tylko dlatego, że zapewniało opłacenie czynszu.

Nie marzyłam o wielkiej firmie. Marzyłam o możliwości wybierania.

Na stole leżał harmonogram produkcji, próbki papieru bawełnianego i podpisana wczoraj umowa na pierwszą edycję. Trzydzieści numerowanych egzemplarzy, ręczne szycie, tłoczenia wykonywane tradycyjną metodą i ilustracje przygotowane specjalnie do projektu. Zamówienie miało zapewnić mi finansowy oddech potrzebny do stworzenia własnej kolekcji.

Brakowało tylko ilustratora.

A właściwie nie brakowało. Nazwisko zostało wskazane przez wydawcę, lecz od trzech tygodni nie potrafiłam uzyskać potwierdzenia, że człowiek ten rzeczywiście zamierza uczestniczyć w przedsięwzięciu.

- Dzwoniłaś do niego? - zapytała Marta, zerkając na dokumenty.

- Wczoraj.

- I?

- Nie odebrał.

- Może jest zajęty.

- Od trzech tygodni?

Marta wzruszyła ramionami.

- Artyści bywają skomplikowani.

- Introligatorzy też. A jednak odpowiadamy na wiadomości.

Nie powiedziałam jej, że przed podpisaniem umowy sprawdziłam portfolio ilustratora kilkanaście razy. Nie ze względu na brak kompetencji. Przeciwnie, jego prace były znakomite. Oszczędne kreski, ogromna wrażliwość na przestrzeń, ludzkie sylwetki uchwycone tak, jakby za chwilę miały wykonać ruch, którego autor świadomie nie pozwalał im dokończyć.

Znałam ten sposób rysowania.

Kiedyś potrafił zatrzymać mnie przed kartką na całe popołudnie.

Marta dopiła kawę, obiecała przynieść po południu próbki farb i zniknęła na schodach. Zostałam sama z cichym szumem wentylatora i zegarem, który od dwóch lat spieszył się o siedem minut. Nie poprawiałam go. Lubiłam mieć niewielki zapas czasu, nawet jeśli był tylko umowny.

O dziesiątej zaczęłam przygotowywać tekturowe okładki. Cięłam materiał powoli, prowadząc nóż wzdłuż metalowej linijki, kiedy zabrzęczał telefon.

Wiadomość od wydawcy.

Pani Olgo, przepraszam za nagłą zmianę. Pan Tomasz Wrona potwierdził udział i chciałby dziś obejrzeć materiały. Przekazałem mu adres pracowni. Mam nadzieję, że uda się Państwu ustalić szczegóły.

Przeczytałam wiadomość dwukrotnie.

Potem odłożyłam telefon ekranem do dołu.

Tomasz Wrona.

Przez piętnaście lat nauczyłam się wypowiadać to nazwisko w myślach bez żadnego szczególnego uczucia. Przynajmniej tak sądziłam. Nie należało do mojej codzienności. Nie pojawiało się w rozmowach, nie przechowywałam jego fotografii, nie sprawdzałam, z kim mieszka i gdzie wystawia prace.

Z czasem przestałam nawet zastanawiać się, czy przeczytał mój ostatni list.

A teraz miał wejść do mojego warsztatu, położyć swoje rysunki obok moich opraw i przez kilka tygodni pracować ze mną nad książką, która miała otworzyć nowy rozdział mojego zawodowego życia.

Nie wiedziałam, czy to ironia losu, czy zwyczajny brak wyobraźni wydawcy.

Sięgnęłam po telefon, żeby zadzwonić i odmówić. Miałam prawo. Umowa przewidywała możliwość zmiany wykonawcy ilustracji w uzasadnionych okolicznościach. Mogłam również zrezygnować z całego zamówienia, choć oznaczałoby to utratę zaliczki przeznaczonej już na materiały.

Patrzyłam na numer wydawnictwa.

Nie zadzwoniłam.

Usłyszałam dzwonek przy drzwiach.

Był dokładnie taki, jak zapamiętałam.

Nie dzwonek, oczywiście.

Tomasz.

Stał w progu w ciemnym płaszczu, z mokrymi od deszczu włosami i skórzaną teczką przewieszoną przez ramię. Miał czterdzieści jeden lat, kilka srebrnych nitek przy skroniach i twarz, na której czas zostawił wyraźniejsze ślady, niż spodziewałam się zobaczyć.

Przez moment żadne z nas się nie odezwało.

- Olga - powiedział w końcu.

Zawsze wymawiał moje imię spokojnie, jakby było czymś, czemu warto poświęcić uwagę. Nie zapomniałam tego. Złościło mnie, że pamiętałam również brzmienie jego głosu.

- Tomasz.

Spojrzał na warsztat. Na drewniane regały, prasę introligatorską, poukładane według gramatur próbki papieru. Zatrzymał wzrok na zielonej okładce leżącej przede mną.

- Zrobiłaś to - powiedział cicho.

- Co?

- Własną pracownię.

Nie odpowiedziałam od razu. Piętnaście lat wcześniej opowiadałam mu o niej w maleńkim wynajmowanym pokoju, kiedy siedzieliśmy na podłodze, jedliśmy zimną pizzę i wierzyliśmy, że wszystko, czego pragniemy, jest kwestią wystarczającej odwagi.

Pamiętał.

To nie powinno mieć znaczenia.

- Jeśli przyszedłeś obejrzeć materiały, są na stole - oznajmiłam.

Zdjął płaszcz, ale nie ruszył dalej bez zaproszenia.

- Nie wiedziałem, że to twoja pracownia.

Uniosłam brwi.

- Moje nazwisko widnieje na umowie.

- Widziałem je dopiero wczoraj. Wcześniejsze ustalenia prowadził mój agent.

Przyglądałam mu się, szukając dawnej łatwości, z jaką potrafiłam odczytywać jego twarz. Kiedyś wiedziałam, kiedy się martwi, zanim zdążył wypowiedzieć choćby słowo. Teraz dostrzegałam tylko ostrożność.

- Mogłeś zadzwonić.

- Mogłem.

Prosta odpowiedź. Bez usprawiedliwienia.

Podeszłam do stołu i rozłożyłam przed nim próbki. Stanął naprzeciwko mnie, zachowując dystans, którego kiedyś między nami nie było. Kiedy sięgnął po jedną z okładek, zauważyłam niewielką bliznę przy nasadzie jego kciuka.

Pamiętałam wieczór, kiedy przeciął się moim nożem introligatorskim. Pamiętałam zapach środka odkażającego i jego rozbawienie, kiedy bandażowałam mu dłoń z przesadną starannością.

Przede wszystkim pamiętałam, jak później objął mnie tą samą ręką.

Odwróciłam wzrok.

Tomasz delikatnie przesunął palcami po płótnie, omijając uszkodzony fragment.

- Zawsze wybierałaś zieleń, kiedy coś było dla ciebie ważne.

- Teraz wybieram ją, kiedy pasuje do projektu.

Uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

- Oczywiście.

Nie lubiłam tego uśmiechu. A dokładniej nie lubiłam faktu, że po tylu latach nadal wiedziałam, co oznaczał.

Wyjął z teczki szkicownik i położył go obok moich materiałów. Na pierwszej stronie widniał rysunek dwóch dłoni, które niemal się stykały, rozdzielone wąskim pasmem pustej przestrzeni.

Przez dłuższą chwilę patrzyłam na ten obraz.

- Dlaczego właśnie to? - zapytałam.

Tomasz nie od razu odpowiedział.

- Bo czasami to, czego nie udało się dotknąć, zostaje z człowiekiem najdłużej.

Podniosłam głowę. Był dostatecznie blisko, żebym poczuła znajomy zapach cedrowego mydła, ale nie na tyle, bym mogła uznać jego obecność za naruszenie mojej przestrzeni.

Miałam przed sobą człowieka, którego kiedyś kochałam, i pracę, na którą czekałam latami.

Wiedziałam, że potrafię ochronić warsztat, umowę i własne plany.

Nie wiedziałam tylko, czy równie skutecznie zdołam ochronić tę część siebie, która wciąż pamiętała jego dotyk.

Rozdział 1 - Granice papieru

Tomasz odsunął szkicownik na środek stołu, a ja przez kilka sekund zastanawiałam się, czy można wyrzucić kogoś z własnej pracowni wyłącznie za to, że narysował coś zbyt pięknego.

Dwie dłonie rozdzielone wąską przestrzenią wyglądały na pierwszy rzut oka jak ilustracja o tęsknocie. Dopiero przy bliższym spojrzeniu dostrzegłam, że jedna z nich była zwrócona wnętrzem do góry, gotowa przyjąć cudzy dotyk, podczas gdy druga pozostawała zamknięta. Nie wiedziałam, czy zamierzał opowiedzieć historię spotkania, czy odmowy. Znałam jednak Tomasza wystarczająco dobrze, żeby podejrzewać, że nie zostawił tej dwuznaczności przypadkowi.

- To jest projekt pierwszej ilustracji? - zapytałam.

- Raczej propozycja języka, którym moglibyśmy opowiedzieć całą książkę.

Słowo „moglibyśmy" zabrzmiało między nami niezręcznie. Nie dlatego, że odnosiło się do współpracy. Piętnaście lat wcześniej używaliśmy go niemal bez przerwy. Moglibyśmy wyjechać. Moglibyśmy wynająć większe mieszkanie. Moglibyśmy zamienić nasze marzenia w coś rzeczywistego. Dopiero później zrozumiałam, że liczba mnoga potrafi ukrywać dwie zupełnie różne przyszłości.

- Wydawnictwo zatwierdziło już kierunek wizualny - powiedziałam, sięgając po przygotowaną teczkę. - Minimalistyczne ilustracje, ograniczona paleta, nacisk na materiał i typografię. Mamy trzydzieści egzemplarzy, które muszą być gotowe przed końcem lutego. Cały harmonogram jest tutaj.

Tomasz otworzył teczkę i przez chwilę przeglądał dokumenty. Nie spieszył się. Zatrzymywał wzrok na szczegółach, porównywał próbki i zapisywał coś ołówkiem na marginesie własnego notesu. Pamiętałam tę jego koncentrację. Kiedy pracował, świat musiał poczekać, aż skończy rozumieć to, na co patrzył.

- Ty przygotowałaś również układ rozkładówek?

- Oczywiście.

- Bez ilustracji?

- Z miejscem na ilustracje.

- To nie jest to samo.

Podniosłam wzrok.

- Wiem, czym różni się projekt książki od gotowej książki, Tomasz.

- Nie twierdzę, że nie wiesz.

- Brzmiało podobnie.

Przez moment przyglądał mi się uważnie. Potem zamknął teczkę, opierając na niej obie dłonie.

- Chciałbym ustalić jedną rzecz, zanim zaczniemy.

- Słucham.

- Nie zgodzę się na wykonywanie ilustracji pod gotowy układ stron. Chcę, żebyśmy zaprojektowali rytm książki razem. Obraz i oprawa muszą ze sobą rozmawiać.

Poczułam znajomy rodzaj irytacji, który pojawiał się zawsze, kiedy ktoś usiłował poprawiać moje decyzje bez poznania powodów, dla których je podjęłam.

- Układ jest przemyślany. Przetestowałam trzy rodzaje papieru, policzyłam grubość bloków i przygotowałam prototyp. Przesunięcie ilustracji zmieni cały projekt.

- Być może na lepsze.

- A być może o trzy tygodnie opóźni produkcję.

Nie odpowiedział natychmiast. Otworzył pierwszą próbkę i delikatnie uniósł jedną z pustych kart.

- Spójrz tutaj. Masz sześć kolejnych stron, na których planujesz zostawić dużo bieli. Potem trzy rozkładówki z ilustracjami. Czytelnik dostanie najpierw ciszę, a później wszystko naraz.

- To celowe.

- Rozumiem. Ale chciałbym, żeby jedna z tych ilustracji pojawiła się wcześniej. Jak obietnica czegoś, czego jeszcze nie znamy.

Jego argument był dobry. I właśnie to drażniło mnie najbardziej.

Przesunęłam krzesło i usiadłam po drugiej stronie stołu. Otworzyłam prototyp w miejscu, o którym mówił. Papier miał ciepły, kremowy odcień, a puste strony tworzyły spokojną przestrzeń przed pierwszą większą kompozycją. Zaprojektowałam ją tak, by nic nie zakłócało układu szycia. Tomasz natomiast patrzył na książkę oczami człowieka, który dostrzegał opowieść jeszcze przed jej powstaniem.

- Nie chcę burzyć konstrukcji dla efektownego pomysłu - powiedziałam.

- A ja nie chcę ozdabiać czegoś, czego nie pozwolono mi współtworzyć.

To zdanie zatrzymało mnie skuteczniej niż wszystkie poprzednie.

Nie chodziło już o rozkładówki. Zrozumiałam, że Tomasz nie zamierzał zostać wykonawcą podlegającym moim poleceniom. Chciał mieć realny wpływ na projekt. Nie

mogłam mu tego odmówić wyłącznie dlatego, że jego obecność przypominała mi okres życia, nad którym nie miałam żadnej kontroli.

- Wydawca zatrudnił cię jako ilustratora - przypomniałam.

- Tak. A ilustracje są częścią książki. Nie dodatkiem do gotowej dekoracji.

- Mówisz tak, jakbym próbowała cię ograniczać.

- Na razie próbujesz ustalić wszystko, zanim zdążę zadać pierwsze pytanie.

Odchyliłam się na krześle.

- Naprawdę wrócimy do tego po piętnastu latach?

Zobaczyłam, jak zmienia mu się twarz. Nie odwrócił wzroku, ale zniknęła z niego swoboda, z którą przed chwilą omawiał projekt.

- Nie wiedziałem, że już do czegoś wracamy.

- Właśnie dlatego nie powinniśmy.

Zapadła cisza. Za ścianą ruszyła stara instalacja grzewcza, stukając w rurach tak głośno, że mogłaby skutecznie zakończyć każdą rozmowę. Tomasz spojrzał na okno, a potem znów na mnie.

- Nie przyszedłem po to, żeby ci komplikować życie, Olga.

- To dobrze, bo mam wystarczająco dużo pracy.

- Widzę.

- Nie potrzebuję, żebyś oceniał również to.

- Nie oceniam. Podziwiam.

Mogłam przygotować się na sprzeciw, ironię albo próbę wykorzystania naszej przeszłości. Na zwyczajny, spokojnie

wypowiedziany podziw nie byłam gotowa. Wstałam, żeby odłożyć próbki papieru na półkę, chociaż nie wymagały porządkowania.

- To nie zmienia warunków współpracy.

- Nie oczekuję, że zmieni.

Odwróciłam się do niego.

- Więc czego oczekujesz?

- Żebyśmy oboje mieli prawo powiedzieć, że coś nie działa. I żeby żadne z nas nie traktowało tego jak osobistej porażki.

Przez chwilę nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Piętnaście lat wcześniej oddałabym wiele, żeby właśnie takie zdanie usłyszeć od Tomasza. Wtedy nasze najważniejsze rozmowy kończyły się jednak zbyt szybko, a dumę myliliśmy z godnością. Nie chciałam sprawdzać, czy pamiętał to podobnie.

- Dobrze - powiedziałam wreszcie. - Pokaż mi, co konkretnie proponujesz.

Tomasz nie uśmiechnął się triumfalnie. Wyjął z teczki kilka luźnych arkuszy i rozłożył je obok prototypu. Były to nie tylko rysunki dłoni, lecz również fragmenty twarzy, uchylone drzwi, odbicia w szybie i małe przedmioty pozostawione w pustych pomieszczeniach. Wszystkie kompozycje łączyła nieobecność czegoś, co powinno znaleźć się w kadrze.

- Myślałem o książce, którą czyta się również poprzez to, czego nie pokazuje - wyjaśnił. - Na przykład tutaj. Zamiast umieszczać ilustrację na osobnej stronie, moglibyśmy pozwolić jej wejść na sąsiednią kartę. Kiedy ktoś przewraca papier, obraz powoli znika.

Pochyliłam się nad rysunkiem. Był wykonany miękkim grafitem, a linie dłoni urywały się przy krawędzi kartki. Wyobraziłam sobie druk na cienkim papierze japońskim, wszytym między dwie grubsze karty. Przez półprzezroczystą powierzchnię można byłoby zobaczyć fragment następnej ilustracji.

- Nie na tym papierze - powiedziałam.

- Dlaczego?

Wyjęłam z szuflady arkusz washi i położyłam go na rysunku.

- Na tym.

Tomasz przytrzymał papier za narożnik. Kiedy podniosłam drugi brzeg, zobaczyliśmy, jak grafitowe linie przenikają przez jego delikatną strukturę. Przysunął lampę, a światło wydobyło z włókien subtelne nierówności.

- Właśnie o to mi chodziło - powiedział.

- Tylko że taki arkusz wymaga innego szycia. Musiałabym przygotować specjalne składki.

- Da się?

- Da się. Pytanie, czy wystarczy nam czasu.

Przez kilka minut rozmawialiśmy wyłącznie o książce. O papierze, gramaturze, farbie i tym, jak zachować wyrazistość cienkiej linii. Nie musiałam tłumaczyć mu wszystkiego od początku. Słuchał, zadawał sensowne pytania i nie udawał, że zna odpowiedzi tam, gdzie ich nie miał.

Przy jednym z rysunków zawahaliśmy się równocześnie. Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

- Chcesz powiedzieć, że tu jest za dużo czerni.

- A ty chcesz powiedzieć, że nie powinno mnie to obchodzić.

- Nie. Chcę powiedzieć, że mogę ją ograniczyć.

Uśmiechnęłam się, zanim zdążyłam temu zapobiec.

- Niesłychany postęp.

- Przez piętnaście lat nauczyłem się paru rzeczy.

- Mam nadzieję, że również dotrzymywania terminów.

- Tego nadal się uczę.

Zaśmiałam się krótko. Jego spojrzenie zatrzymało się na mojej twarzy odrobinę dłużej, niż wymagała rozmowa. Opuściłam wzrok na rysunki, choć nie musiałam już niczego sprawdzać.

W południe zadzwoniła przedstawicielka wydawnictwa, Alicja Radecka. Włączyłam głośnik, żeby Tomasz mógł uczestniczyć w rozmowie. Alicja chciała potwierdzić termin przekazania pierwszych materiałów i zapewniła, że wydawnictwo jest zachwycone perspektywą współpracy dwojga uznanych rzemieślników.

Nie poprawiałam jej określenia, chociaż nigdy nie uważałam się za osobę uznaną.

- Pierwszą makietę potrzebujemy zobaczyć za dwa tygodnie - powiedziała. - I chciałabym, żebyście przygotowali krótką prezentację procesu. Materiały wykorzystamy podczas spotkań z kolekcjonerami.

- Prezentację możemy omówić osobno - odparłam. - Najpierw musimy zatwierdzić technologię wykonania.

- Rozumiem. Tomasz wspominał jednak, że chciałby zachować możliwość modyfikacji ilustracji do momentu przygotowania próbnego druku.

Spojrzałam na niego.

- O tym właśnie rozmawiamy - powiedziałam ostrożnie.

- Świetnie. W takim razie liczę, że znajdziecie rozwiązanie.

Po zakończeniu połączenia przez chwilę siedzieliśmy naprzeciwko siebie. Zegar wskazywał dwunastą siedemnaście, choć naprawdę było dziesięć minut po dwunastej.

- Mówiłeś jej o zmianach przed spotkaniem ze mną? - zapytałam.

- Powiedziałem, że nie podejmę ostatecznej decyzji o ilustracjach bez obejrzenia makiety.

- To nie to samo, co możliwość modyfikacji do ostatniej chwili.

- Wiem. Nie zatwierdzałem takiego terminu.

Przyglądałam mu się uważnie. Dawniej zbyt często zakładałam, że znam jego intencje, zanim pozwoliłam mu je wyjaśnić. Tym razem miałam do dyspozycji prostsze rozwiązanie.

- W takim razie zapisujemy wszystko. Bez niejasnych ustaleń.

- Zgoda.

Otworzyłam laptop i utworzyłam nowy dokument. Tomasz przysunął krzesło, ale usiadł po drugiej stronie stołu, pozostawiając między nami prototyp książki. Ustaliliśmy, że pierwsze cztery ilustracje przygotuje w ciągu tygodnia, a ja wykonam dwie próbne składki. Zmiany wprowadzone po zaakceptowaniu makiety będą wymagały wspólnej decyzji i ponownej oceny kosztów.

Pozostawał jeden problem.

- Prawa do projektu - powiedział Tomasz.

- W umowie określono honorarium za twoje ilustracje.

- Wiem. Ale jeśli zmienimy układ i zaczniemy projektować wspólnie, chciałbym, żeby zostało to odzwierciedlone w zapisach dotyczących autorstwa.

Przez chwilę patrzyłam na niego bez słowa.

- To ma być moja autorska edycja - odpowiedziałam. - Od miesięcy pracuję nad sposobem wykonania. Nie zamierzam oddawać komuś połowy decyzji tylko dlatego, że zaproponował ciekawy pomysł.

- Nie proszę o połowę twojej pracy.

- A o co?

- O uczciwe określenie mojej.

Zamknęłam laptop.

- To warunek?

- Tak.

W jego głosie nie było wyzwania. Brzmiał spokojnie, stanowczo i właśnie przez to nie mogłam potraktować jego słów jako próby prowokacji. Miał własną reputację, własne zobowiązania i prawo chronić to, co tworzył. Rozumiałam to doskonale. Nie zmieniało to jednak faktu, że nagle człowiek, którego kiedyś kochałam, mógł wpłynąć na najważniejszy projekt mojego zawodowego życia.

- Muszę przeanalizować konsekwencje - powiedziałam.

- Oczywiście.

- I porozmawiać z wydawnictwem.

- Zróbmy to razem, kiedy ustalisz, jakie rozwiązanie uważasz za sprawiedliwe.

Odłożyłam długopis. Miałam ochotę zapytać, dlaczego dawniej nie potrafił rozmawiać o naszych wspólnych planach z podobnym spokojem. Zamiast tego spojrzałam na szkic dłoni. Zamknięta ręka nie wydawała mi się już wyłącznie symbolem odmowy. Mogła równie dobrze należeć do kogoś, kto jeszcze nie zdecydował się jej otworzyć.

Tomasz zaczął zbierać rysunki. Jeden z arkuszy zsunął się ze stołu, zanim zdążyłam go przytrzymać. Schyliliśmy się niemal jednocześnie. Cofnęłam dłoń, pozwalając mu podnieść papier. Zauważył ten ruch, ale nie skomentował go.

- Kiedy mogę przyjść ponownie? - zapytał.

- Jutro po dziesiątej. Muszę wcześniej przygotować próbki.

- Będę o wpół do jedenastej.

Włożył płaszcz i zatrzymał się przy drzwiach. Deszcz za szybą osłabł, a na chodniku pojawiły się wąskie pasma popołudniowego światła.

- Olga?

- Tak?

- Nie chciałem dziś sprawić, żebyś poczuła, że ktoś odbiera ci twoją pracownię.

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem.

- Nie czuję się tak.

- Dobrze.

Nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego jego odpowiedź wydała mi się smutna. Może dlatego, że nie próbował mnie przekonywać, że zna moje uczucia lepiej ode mnie.

Kiedy wyszedł, wróciłam do stołu i ponownie otworzyłam prototyp. Na kremowych stronach nadal nie było żadnej ilustracji, lecz nie widziałam już pustki w taki sam sposób.

Po raz pierwszy od miesięcy pomyślałam, że mój plan może wymagać zmiany nie dlatego, że był niewystarczająco dobry, ale dlatego, że ktoś dostrzegł w nim możliwość, której sama nie zauważyłam.

Ta myśl była niewygodna.

Jeszcze bardziej niewygodne było to, że chciałam zobaczyć, co Tomasz narysuje jutro.

Rozdział 2 - Umowa o milczeniu

Następnego ranka przyszłam do warsztatu godzinę wcześniej i odkryłam, że potrafię przygotowywać się do zawodowego spotkania z mężczyzną równie starannie, jak kiedyś do pierwszej randki. Różnica polegała na tym, że zamiast wybierać sukienkę, sprawdzałam koszt papieru, zapas nici introligatorskich i zapisy dotyczące praw autorskich.

Nie zamierzałam pozwolić, żeby przeszłość komplikowała mi decyzje finansowe.

O dziewiątej zadzwoniła Marta.

- Żyjesz?

- Pracuję.

- Czyli sytuacja poważna. Wczoraj nawet nie przyszłaś po obiecane próbki farb.

- Miałam spotkanie.

- Z kim?

Milczałam odrobinę za długo.

- Olga?

- Z Tomaszem Wroną.

Usłyszałam, jak coś upada po drugiej stronie połączenia.

- Tym Tomaszem?

- Nie znam innego, którego nazwisko wywoływałoby u ciebie tak dramatyczne reakcje.

- Przepraszam, właśnie wylałam kawę na faktury. On wrócił do Torunia?

- Nie wiem, gdzie teraz mieszka. Przyszedł w sprawie ilustracji.

Marta przez chwilę nie odpowiadała. Była jedną z niewielu osób, które znały zakończenie naszego związku nie z moich późniejszych, starannie uporządkowanych opowieści, lecz z tamtych dni, kiedy nie potrafiłam jeszcze udawać obojętności.

- Jak się czujesz? - zapytała w końcu.

Spojrzałam na rozłożone na stole dokumenty.

- Jak ktoś, kto musi negocjować umowę z bardzo upartym ilustratorem.

- Pytam o ciebie.

- Ja też.

Nie naciskała. Zamiast tego zaproponowała, że zajrzy po południu z nowymi próbkami pigmentów. Podziękowałam jej, a kiedy zakończyłyśmy rozmowę, przez kilka minut siedziałam nieruchomo, słuchając odgłosów budzącej się ulicy.

Marta pamiętała mnie sprzed piętnastu lat jako dziewczynę, która potrafiła czekać pod telefonem przez cały wieczór. Ja wolałam pamiętać siebie jako kobietę, która w końcu przestała czekać.

O dziesiątej trzydzieści Tomasz zapukał do otwartych drzwi. Miał na sobie ciemny sweter, szary szalik i niósł dwa papierowe kubki.

- Nie wiedziałem, czy nadal pijesz kawę bez cukru - powiedział.

- Nadal.

Postawił jeden kubek przy wolnym końcu stołu.

- W takim razie dobrze zapamiętałem.

Nie sięgnęłam po niego od razu. Zwyczajny gest pamiętania czyjegoś upodobania potrafił być bardziej osobisty niż najbardziej wyszukany komplement. Wczoraj zdołałam przekonać samą siebie, że łączy nas przede wszystkim projekt. Dzisiaj zrozumiałam, że nasze ciała i przyzwyczajenia mogły pamiętać rzeczy, których rozum nie zamierzał już przywoływać.

- Przygotowałam propozycję zasad - oznajmiłam.

- Brzmi groźnie.

- Jest bardzo rozsądna.

- W twoim wykonaniu te dwa określenia często znaczą to samo.

Podałam mu wydruk. Przeczytał pierwszą stronę, po czym uniósł wzrok.

- Godziny pracy, terminy odpowiedzi, sposób zgłaszania zmian, zasady korzystania z materiałów. Wszystko wygląda sensownie.

- Jest jeszcze druga strona.

Przewrócił kartkę.

- Rozumiem. Granice prywatne.

- Tak.

Przez chwilę czytał bez słowa. Napisałam, że sprawy zawodowe omawiamy podczas ustalonych spotkań albo w korespondencji dotyczącej projektu. Że żadna ze stron nie może wykorzystywać dawnych relacji do wywierania presji. Że nie będziemy podejmować decyzji pod wpływem osobistych konfliktów.

Nie wpisałam tego, czego naprawdę się obawiałam. Nie istniał przecież żaden rozsądny paragraf chroniący przed sposobem, w jaki ktoś wymawia nasze imię.

- Brakuje jednej rzeczy - powiedział Tomasz.

- Jakiej?

- Co robimy, jeśli któreś z nas nie będzie chciało rozmawiać o czymś niezwiązanym z pracą?

- Po prostu nie rozmawiamy.

- Dobrze. To też zapiszmy.

Usiadł naprzeciwko mnie i wyjął własne notatki. Byłam przygotowana na spór, tymczasem przez niemal godzinę rozmawialiśmy rzeczowo. Ustaliliśmy, że oprawa, technologia i wykonanie fizycznych egzemplarzy pozostają pod moim kierownictwem. Tomasz odpowiadał za ilustracje, ich spójność artystyczną i sposób przygotowania plików do druku. Decyzje dotyczące kompozycji całych rozkładówek mieliśmy podejmować wspólnie.

Najtrudniejsze okazało się autorstwo.

- Nie chcę jednego wspólnego podpisu pod wszystkim - powiedziałam. - Każde z nas wnosi inną pracę.

- Zgadzam się.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

- Tak po prostu?

- Nie mam ambicji udawać introligatora.

- Za to masz ambicję zmieniać konstrukcję książki.

- Tylko wtedy, kiedy konstrukcja uniemożliwia opowiedzenie historii.

Przesunął ku mnie arkusz z proponowanym zapisem. Odrębne prawa do oprawy i ilustracji, wspólna zgoda na